

Następny

Dzień po kapitulacji Czech, czyli po podpisaniu Traktatu Lizbońskiego przez prezydenta Vaclava Klause, rozpoczął się wyścig do najwyższych stołków we władzach Unii Europejskiej: przewodniczącego Rady Europejskiej, czyli prezydenta UE oraz szefa unijnej dyplomacji, czyli ministra (dlaczego nie komisarza?) spraw zagranicznych UE i polityki bezpieczeństwa. Na szczycie Unii Europejskiej zwołanym do Brukseli na 19 listopada br. przez Szwecję, która pełni tzw. „prezydencję”, mają zapaść decyzje w sprawie obsadzenia tych stanowisk. Eurobiurokraci muszą szybko uzgodnić kandydatury, aby Traktat mógł wejść w życie z nowymi władzami z początkiem przyszłego roku. Do podziału są też stanowiska komisarzy w Komisji Europejskiej.

Polska po udanym zeforsowaniu kandydatury Jerzego Buzka na szefa Parlamentu Europejskiego zabiega jeszcze o ulokowanie na czele jakiejś komisji gospodarczej (budżetu lub rozwoju regionalnego) Janusza Lewandowskiego. W tej sprawie premier Donald Tusk specjalnie odbył niedawno podróż do Brukseli. Była jeszcze z naszej strony, storpedowana przez Szwecję, próba zaproponowania Unii, aby kandydaci nim zostaną wybrani na najwyższe stanowiska, przedstawili swoje programy. I to wszystko na co stać Polskę w nowej konfiguracji europejskiej, w której małe i średniej wielkości państwa narodowe powoli odchodzą do lamusa historii.

Obsada przyszłych władz Unii Europejskiej odbywa się z zaprzeczeniem podstawowych zasad demokracji. Obecne „konsultacje” nie mają prawnych podstaw, gdyż jej ramy wytyczyła deklaracja dołączona do aktu końcowego, z której wynikało zalecenie opracowania przez Parlament Europejski i Radę Europejską wspólnego porozumienia w sprawie trybu prowadzenia negocjacji nad wyłonieniem osób funkcyjnych. Obecne „konsultacje” są najzwyczajszym politycznym handlem. Zamiast w miarę jasnych kryteriów wyboru widzimy przepychanki, kalkulacje i nieistotne prognozy; socjalista czy chadek, przedstawiciel krajów starej Unii czy nowej, kobieta czy mężczyzna, itd. Wybory w świetle kamer będą już tylko formalnym „przyklepaniem” wcześniejszych uzgodnień i politycznych kombinacji o ukrytych danych licznika i mianownika. Ale kiedy już poznamy nazwiska „unijnych pomazańców” musimy wiedzieć, że będą oni musieli dbać wyłącznie o „interes europejski”. Nowy prezydent i minister spraw zagranicznych Unii Europejskiej, podobnie jak komisarze, złożą ślubowanie na wierność zasadom Unii Europejskiej wyrażonym w konstytucji nazwanej dla niepoznaki Traktatem Reformującym z Lizbony, uwalniając się oficjalnie z resztek lojalności wobec własnego państwa. O losach ponad 500 milionów Europejczyków będą decydować przede wszystkim prezydent, szef dyplomacji i unijni komisarze. Kilkudziesięciu ludzi wytyczy kierunki działań UE w stosunku do Rosji, Stanów Zjednoczonych i NATO. Określi bieżącą politykę energetyczną i rolną. Od ich

decyzji (nie od Parlamentu Europejskiego) zależeć będzie na ile Unia pozostanie wspólnym rynkiem, a na ile ulegnie interesom największych państw członkowskich Unii.

Niedługo zatem przekonamy się czym są warte zapisy na temat wyboru osób na najważniejsze stanowiska w Unii. Czy rzeczywiście będzie uwzględniona „w należyty sposób konieczność poszanowania geograficznej i demograficznej różnorodności Unii oraz jej państw członkowskich”, o czym mówi jedna z deklaracji dołączonych do aktu końcowego konferencji, która przyjęła Traktat z Lizbony. Zakończy też swój byt, o czym się zbyt głośno nie mówi, instytucja tzw. zbiorowej prezydencji, na której przygotowanie Polska wydała już pieniądze. Jeżeli zaś się utrzym, to bez prerogatyw dotyczących spraw zagranicznych Unii, o czym postanowiono w innej deklaracji.

Traktat Lizboński wbrew deklaracjom namiętnie powtarzanym przez socjalistyczne i liberalne media odszedł od zasady solidarności państw członkowskich na rzecz dominacji silniejszych państw nad słabszymi. Od 2014 roku wejdzie w życie zasada tzw. podwójnej większości. 55% państw, (a więc nie mniej niż 15 państw) reprezentujących 65% obywateli Unii będzie mogło przesądzić o każdej kwestii. W sprawach polityki zagranicznej, walutowej, wymóg ten jest większy, to znaczy 72% państw zamieszkałych przez co najmniej 65 % obywateli.

Większość kwalifikowana zostaje zastąpiona tzw. podwójną większością, prawo weta przestanie istnieć.

Studiowanie setek aktów prawnych regulujących funkcjonowanie Unii Europejskiej w przekonaniu znalezienia logiki i trwałości poszczególnych rozwiązań jest przywilejem nielicznych. Do tej grupy należą z pewnością unijni prawnicy. Najwymowniejszym przykładem jest prawne zapewnienie adresowane do państw członkowskich, a ujęte w deklaracji końcowej Traktatu Lizbońskiego, o możliwości „kształtowania i prowadzenia własnej polityki zagranicznej i stosunków z państwami trzecimi”, i równoczesne przypomnienie, że orzecznictwo Trybunału Sprawiedliwości UE i prawo przyjęte przez EU mają pierwszeństwo przed prawem państw członkowskich.

**Wojciech Reszczyński**

„Nasza Polska” 17.11.09